



DROGIE CZYTELNICZKI, DRODZY CZYTELNICY!

Rodzinny spacer po osiedlu przy ul. Diamentowej, początek lat 70-tych. Archiwum rodzinne Cezarego Ponczka. ↑

Gdański Archipelag Kultury już od siedmiu lat przygotowuje dla Was i wydaje pismo o starej i nowej Oruni, o jej historii i życiu jej mieszkańców. Wiemy, że czekacie na każdy nowy numer, że przychodzicie do nas i pytacie, kiedy się ukáže. Tym bardziej więc cieszymy się, że możemy oddać w Wasze ręce kolejny, tym razem dziesiąty numer „Waszych Historii po Oruńsku”. Tym razem zapraszamy Was do podróży w niedaleką przeszłość, do czasów, gdy nasza piękna dzielnica zmieniła, bo musiała, swój dotychczasowy charakter. Obok starych kamienic i małych domków pojawiły się w naszym krajobrazie wielopiętrowe bloki, w tym także wieżowce. Dziś w tych domach, budowanych od lat sześćdziesiątych ubiegłego wieku, mieszka większość Orunianek i Oruniaków. W tym numerze podążamy ich śladami. Wiemy, że bloki to nie tylko betonowe wieże, to świadek historii, to także społeczność, którą od lat tworzycie. Ten numer i te opowieści, które usłyszeliśmy są prezentem dla Was wszystkich. Zapraszamy do lektury!

ANNA SADOWSKA – REDAKTORKA NACZELNA „WASZYCH HISTORII PO ORUŃSKU”.



TAK JAK Z KLOCKÓW, BĘDZIE SIĘ U NAS BUDOWAŁO DOMY

Z początkiem lat 60-tych zaczęła się na Oruni prawdziwa rewolucja. Na pozór wszystko było po staremu. Ulica Jedności Robotniczej (dziś Trakt św. Wojciecha) wciąż była wąską brukowaną drogą – na jej poszerzenie i wyburzenie wielu starych kamienic trzeba było poczekać jeszcze dobrych kilka lat. Na tym skromnym odcinku nadal też kursował tramwaj, znak rozpoznawczy „starej” Oruni, legendarna szóstka z kultowymi mijankami na trasie. Krajobraz dzielnicy miał się jednak w najbliższych latach gwałtownie zmienić. W spokojnej i niemal rolniczej dzielnicy budować zaczęto bloki.

Pierwszy zwiastun „nowego” pojawił się w maju 1963 roku, przy ulicy Żuławskiej. Na miejsce przyjechali pracownicy Gdańskiego Przedsiębiorstwa Budowlanego, na czele z inżynierem Andrzejem Dyllą, by rozejrzeć się na miejscu planowanej inwestycji. Jak donosił korespondent „Dziennika Bałtyckiego”, „maj upłynął na organizacji placu budowy a w czerwcu rozpoczęto wykopy pod 9 bliźniaczych, czteropiętrowych budynków po 184 izby mieszkalne każdy i kotłownię osiedlową”. Inżynier Dylla został później kierownikiem budowy osiedla przy Żuławskiej. Rok później, w maju 1964 pełną parą działał już plac budowy – świadczą o tym choćby zapisy w rejestrze wypadków przy pracy, przechowywanym w gdańskim Archiwum Państwowym.

Nie próżnowano też po drugiej stronie torów. „Uroczysty dzień gdańskiej Oruni” – trąbiły prasowe nagłówki. Na rogu ulic Raduńskiej i Piaskowej rozpoczęto wtedy budowę kolejnego osiedla bloków mieszkalnych. We wrześniu 1963 roku uroczyste wmurowano tam kamień węgielny pod fundamenty pierwszego planowanego tam budynku – czyli najpewniej albo kotłowni, albo bloku przy Raduńskiej 10. W przeciwieństwie do skromnych początków osiedla przy Żuławskiej, tutaj naprawdę zaczęto się uroczyste i z pompą: na miejsce przybył Tadeusz Bejm z Miejskiej Rady Narodowej, partyjni funkcjonariusze, nie zabrakło także miejskiego architekta, przedstawicieli Gdańskiej Spółdzielni Mieszkaniowej (czyli inwestora osiedla). Na uroczystości pojawił się także Stanisław Michel, inżynier, który zaprojektował część bloków powstających po zachodniej stronie kanału Raduni – wtedy jeszcze młody, bo trzydziestoparoletni architekt. Budowę nowego osiedla miał kierować inżynier Borys Popow. Wiemy, że w październiku tego samego roku prace na placu budowy już trwały – wspomniana księga wypadków rejestruje fakt upadku prefabrykowanej belki dms na jednego z betoniarzy...

Dziś Michel (zmarł w 2020 roku) to znane w Gdańsku nazwisko, kojarzone z wieloma ważnymi budynkami, także tymi na Oruni, na czele z budynkiem KRUS-u, czy projektem przebudowy Miejskiego Domu Kultury przy ul. Dworcowej (dziś Stacji Orunia GAK). Nie ulega wątpliwości, że to spod jego ręki wyszły projekty „punktowców” na Osiedlu Raduńska. Stanisław Michel przyznaje się jednak także (choć niechętnie) do zaprojektowania bloków przy ulicy Żuławskiej. Jak wyznał w rozmowie z Piotrem Olejarczykiem, nie jest dumny z tego projektu. Do tego tematu jeszcze powrócimy.

Skąd ta mobilizacja w szybkim stawianiu nowych bloków? Powód był prosty i dotyczył całego kraju, nie tylko Gdańska czy Oruni. W Polsce po prostu brakowało mieszkań. Polityka PRL-u stawiała na szybki rozwój przemysłu, więc do dużych miast ściągano wielu robotników chcących podjąć pracę – w stoczniach, kopalniach, hutach, fabrykach samochodów. Niestety, większość gnieździła się gdzie bądź, w wynajmowanych pokojach, albo, często nielegalnie, w robotniczych hotelach, gdzie warunki życia pozostawiały wiele do życzenia. Tym ludziom i ich rodzinom trzeba było zapewnić godziwe warunki do życia i pracy.

Tymczasem praca na obu budowach posuwała się do przodu. Postęp robót pilnie śledziła lokalna prasa. Wiosną 1965 roku dziennikarze odnotowują, że w osiedlu przy Żuławskiej postawiono osiem bloków – w niektórych z nich trwały zaawansowane prace wykończeniowe i lada chwila miały zostać oddane do użytku. „Kotłownia osiedlowa już jest wykończona, tak że mieszkańców nowego budynku nie zaskoczy chłód kapryśnego kwietnia” – dodaje redaktor „Dziennika Bałtyckiego”. Praca wre także na nowym osiedlu w rejonie ulicy Raduńskiej. W listopadzie tego roku gotowych było już dziewięć jednoklatkowych „punktowców” projektu Stanisława Michela, zaś w planie były kolejne budynki (w tym kilkuklatkowe bloki projektu Janusza Morka, zwane popularnie „zmorkami”). „Za kilka lat i ta dzielnica naszego miasta będzie witać przybyszów nowoczesną, bielejącą w słońcu architekturą” – cieszył się redaktor codziennej gazety.

Budowa nowych osiedli to oczko w głowie zarówno prasy, jak i decydentów. I nie chodzi tylko o interes przyszłych lokatorów, niecierpliwie oczekujących na klucze do wymarzonego mieszkania. W 1965 roku miało dokładnie 20 lat tak zwanej Polski Ludowej. Okrągła rocznica to znakomity pretekst, by pokazać społeczeństwu, jak socjalistyczna ojczyzna dba o interes mas pracujących. Stąd nie tylko „warszawskie” tempo robót, ale i propagandowe przeciwstawianie „nowoczesnej” architektury przedwojennym starym „pruskim ruderom”. Zaniedbana Orunia ze „zmurszałymi domkami”, otoczonymi polami, na których „pały się krowy” oraz „rosły dziko drzewa, krzaki i zielsko” miała ustąpić nowoczesnej architekturze „z wszystkimi wygodami”, widokiem na zabytkowe centrum Gdańska oraz dostępem do powietrza i światła.



Propagandowa grafika na xx-lecie Polski Ludowej. Źródło: „Dziennik Bałtycki” 1963 rok, Bałtycka Biblioteka Cyfrowa

Efektem tej polityki padają m.in. gdańskie bloki przy ulicy Szuwary. Ale nie tylko – nowa moda dociera też na Orunię, a konkretnie na ulicę Żuławską, gdzie powstają „przykładowo oszczędne” bloki. Szczęśliwie niektóre z pomysłów projektantów (na przykład likwidację piwnic i umieszczenie ich na parterze) przytomnie bojkotują wykonawcy. Stanisław Michel po latach przyzna, że „budownictwo oszczędne” to ślepy tor polskiej architektury: „Za czasów Gomułki były wytyczne: budujemy tanio, zrywamy z architekturą ostatnich lat. Wstyd się przyznać, ale i ja w taką nowoczesność uwierzyłem. Szybko jednak przekonałem się, że nie tędy droga.” – wyznał w rozmowie z Piotrem Olejarczykiem (wywiad z 2012 r. dla portalu Moja Orunia).

Tandetne, czy nie, nowe bloki jednak powstają i wprowadzają się do nich pierwsi mieszkańcy. Jednocześnie rośnie na Oruni trzeci kompleks mieszkalny, na którym dominować już będą pierwsze w dzielnicy dziesięciopiętrowe wieżowce w rejonie ulic Piaskowej, Perłowej, czy Granitowej – zaczynają powstawać w drugiej połowie lat 60-tych, pierwsze lokale trafiają do mieszkańców w 1968 roku. Zarówno one, jak i powstałe nieco wcześniej „zmorki”, bloki projektu Janusza Morka, powstają już w nowej technologii, z elementów prefabrykowanych, montowanych na placu budowy. Spełniła się tym samym dziennikarska prognoza z 1963 roku, że wkrótce, „tak jak z klocków, będzie się u nas budowało domy”. Razem z tą przepowiednią, zmieniła się reszta oblicza starej, spokojnej Oruni. Pod koniec lat sześćdziesiątych zaczęto poszerzać ulicę Jedności Robotniczej, a w 1972 roku, w marcu, do pętli na Gościnniej po oraz ostatni wyjechał tramwaj linii nr 6, wkrótce zastąpiony przez autobus.

„Nowe” przyszło do Oruni na dobre.

ANNA SADOWSKA

ŹRÓDŁA:
PRASA CODZIENNA Z LAT 1963-1968
BEATA CHOMĄTOWSKA, BETONIA. DOM DLA KAŻDEGO, WOŁOWIEC 2018
DZIAŁOWA KSIĄŻKA WYPADKÓW 1957-1965,
ARCHIWUM PAŃSTWOWE W GDAŃSKU
PORTAL MOJAORUNIA.PL

SPÓŁDZIELCZE M-4 — 44 m kw., II piętro, zamienię na większe, chętnie z ogródkiem. Orunia. Rubinowa 1 m. 9 (boczna Raduńskiej). G-5018

ZAMIENIĘ mieszkanie dwupokojowe, nowe budownictwo, na większe. Orunia, Żuławska 5 c/14. G-21272

ŁÓŻECZKO metalowe duże, dziecięce, z materacem, w bardzo dobrym stanie sprzedam. Orunia, ul. Diamentowa 6/26. G-24228

WÓZEK głęboki, nowoczesny, w bardzo dobrym stanie sprzedam. Orunia, ul. Diamentowa 6/26, dawna Raduńska. G-4309

**Grunwaldzka 70. G-21788
POMOC dochodząca, lubiąca dzieci, w godzinach popołudniowych do rodziny 4-osobowej — zaraz potrzebna. Warunki dobre. Gdańsk-Orunia, ul. Rubinowa 7-21. G-21803**

Drobne ogłoszenia prasowe z lat 60-tych i 70-tych. Źródło: „Dziennik Bałtycki”, Bałtycka Biblioteka Cyfrowa

OD POLI RAKSY PO GEORGE'A BUSHA, CZYLI KRÓTKA HISTORIA ORUŃSKICH BLOKOWISK

Nie są może najpiękniejsze, choć te niektóre – szczególnie punktowce z ulicy Diamentowej projektu Stanisława Michela – wciąż dobrze wyglądają, szczególnie w otoczeniu zieleni. Na pozór bezosobowe i jak ze sztancy, opowiadają jednak ciekawe historie ludzi, miejsc, wydarzeń. Oruńskie bloki z osiedli przy Raduńskiej, Żuławskiej czy Piaskowej – to o nich opowiada ten artykuł.

TOPIELICA Z CMENTARZA

Co było na początku? Na Związkowej, Szafirowej, Perłowej, zanim stanęły tam bloki? Odpowiedź na to pytanie zależy od tego, kto jej udziela. Bo jeśli ówczesna, codzienna prasa, to usłyszymy, że „szczerze pole”, „pruskie rudery”, krzaki i zaniebane chaszcze. Coś, co miało zniknąć i ustąpić pola nowej dzielnicy i nowoczesnemu osiedlu. Kiedy jednak zapytamy o to dawnych mieszkańców, sytuacja nie jest już tak czarno-biała, a odpowiedź oczywista. Bo przede wszystkim, o czym gazety tego czasu uparcie milczą, w rejonie Żuławskiej i Związkowej od setek lat istniał ewangelicki cmentarz św. Jerzego, zamknięty oficjalnie dopiero 28 sierpnia 1966 roku. Jego likwidacja zaczęła się jednak wcześniej – teren trzeba było zniwelować, nagrobki usunąć, by przygotować teren pod nowe osiedle. Część dawnych Oruniaków pamięta jeszcze dawny, „niemiecki” cmentarz, którym przecież po wojnie nie miał kto się już opiekować. Byli wtedy dziećmi, więc i pamięć z tego czasu

mają dziecięcą, trochę baśniową. Pamiętają drzewa wyrastające wprost z zaniedbanych grobów, ale i stawik na terenie cmentarza i to, że straszono je tym, że mieszka tam topielica. Dziś po cmentarzu pozostał zieleniec i domek grabarza z zielonymi okiennicami, wciśnięty pomiędzy bloki na Związkowej i Przyjemnej.

Ciekawą historią może pochwalić się także ulica Raduńska, przy której za kilka lat stanąć miały mieszkalne bloki. Gazety codzienne mówiły o tym terenie z lekceważeniem, nazywając je „szczerym polem” lub „pastwiskiem, na którym wypasano krowy”. Tymczasem, podobnie jak w przypadku innych ulic na prawie wiejskiej jeszcze wtedy Oruni, znajdował się tam ciąg dobrze funkcjonujących i zadbanych gospodarstw rolnych. Jedno z nich prowadziła wraz z synem pani Stanisława Gornostaj, ciotka słynnej aktorki Poli Raksy, której zdarzało się odwiedzać krewną na Oruni. Jak wspominają mieszkańcy, Pola przyjeżdżała tu na krótko, ale jej pobyt budził wśród sąsiadów zrozumiałe poruszenie, a może nawet sensację. Kiedy zapadła decyzja o budowie nowego osiedla, stare domy i zabudowania gospodarcze, w tym owczarnie (pani Stanisława hodowała owce) wyburzono, a część mieszkańców przeprowadziła się na Żuławską, do nowych bloków.

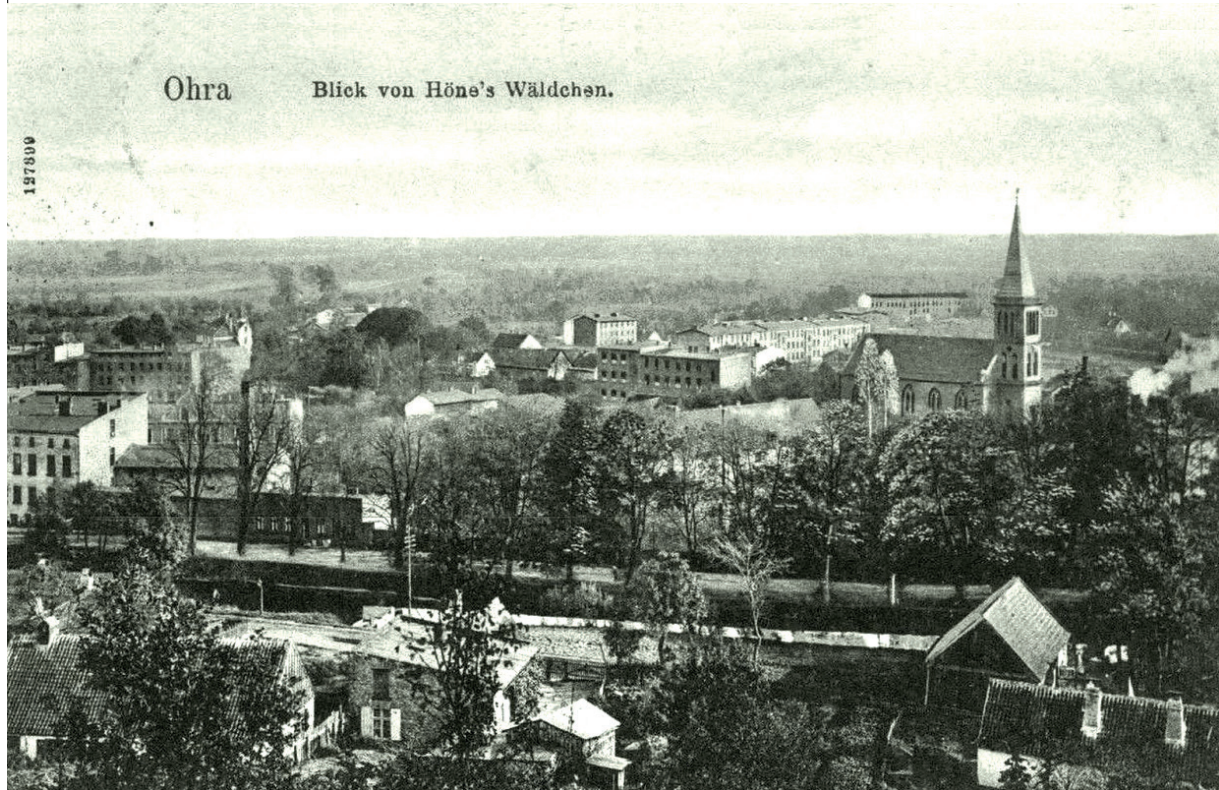
DZIAŁACZE, STOCZNIOWCY, AGENCJE

Mieszkanie w czasach PRL-u było towarem deficytowym. Czekano na nie często latami, wybór był ograniczony, standard bardzo różny, ale ponieważ nie było zwykle alternatywy, to każde M-2 czy M-4 było na wagę złota. Jak władza przydzielała wymarzone mieszkania? Na przykład poprzez losowanie – tak było na osiedlu przy Żuławskiej. Wyznaczonego dnia trzeba było stawić się w Urzędzie Wojewódzkim i liczyć na łut szczęścia. Większe szanse na przydział mieli aktywni działacze, którzy na potwierdzenie swojego zaangażowania przynosili tak zwane książeczki prac społecznych. Wiemy z codziennych gazet, że takich losowań było kilka i zwykle każde z nich dotyczyło konkretnego budynku na osiedlu.

W mieszkaniach spółdzielczych na Raduńskiej, Diamentowej, czy Rubinowej przydział można było dostać z zakładu pracy, tak było na przykład w przypadku rodziny Cezarego Ponczka. – Mój dziadek pracował w stoczni im. Lenina jako stolarz, dostał w latach sześćdziesiątych pracę tam i w ramach tego także przydział na mieszkanie przy ulicy Diamentowej 5, tak to zdaje się było. Dziadkowie przeprowadzili się do Gdańska wtedy, bo wcześniej mieszkali w Nowem, małym miasteczku na Kociewiu. Ten adres oruński to był ich pierwszy adres gdański w ogóle, no i jedyny – opowiada nasz rozmówca.



Cmentarz św. Jerzego, 1984 r., fot. tzw. Biała karta cmentarza nr 14884, źródło: www.zabytek.pl



Widok na Orunię z góry, od strony Parku Oruńskiego, 1905 rok. Źródło: fotopolska.eu



Ten sam widok kilkadziesiąt lat później, na pierwszym planie blok przy ulicy Raduńskiej, w głębi bloki przy Żuławskiej. Archiwum parafii św. Jana Bosko.

Dawni mieszkańcy wspominają też, że do Gdańska przyjeżdżało wtedy wielu ludzi, z różnych stron Polski, do pracy w portach, stoczniach, dużych zakładach i wtedy właśnie rzeczywiście można było dostać mieszkanie stosunkowo szybko.

Po 1989 roku mieszkanie się już zwykle kupuje, albo wynajmuje. To przypadek innej naszej rozmówczyni, Lucyny Korytowskiej, która do bloku przy ulicy Diamentowej 5 wprowadziła się pod koniec lat dziewięćdziesiątych.

– W 1999 roku musiałam w pewnym momencie podjąć ważną decyzję życiową, sprzedałam mieszkanie na Morenie i kupiłam właśnie na Oruni mniejsze, miłutkie mieszkanko, przytulne. A trafiłam na biuro pośrednictwa, które prowadziły dwie młode właścicielki. One mi znalazły to mieszkanie, ja je zaklepałam. Po czym zaraz po tej transakcji naszej te panie się pokłóciły i rozwiązały firmę. Okazało, że ja byłam ich pierwszą i jedyną klientką, a to biuro powstało chyba tylko po to, żebym ja tu kupiła mieszkanie. Więc to nie ja wybrałam Orunię, to Orunia wybrała mnie – przekonuje Lucyna Korytowska.

BUTY MOŻNA BYŁO ZGUBIĆ

– Do bloku na Żuławskiej 1 wprowadziliśmy się jako jedni z pierwszych, pod koniec 1965 roku, miałem wtedy 4 lata. To było pierwsze zasiedlenie. – wspomina Zygfryd Lehmann. – Z tego, co pamiętam, one wszystkie były budowane w tym samym mniej więcej czasie i oddawane były też praktycznie w tym samym czasie. Ale ludzie wprowadzali się stopniowo, w momencie, gdy każdy z tych bloków oddawany był do użytku. Wtedy jeszcze, jak się

wprowadzaliśmy, to naprzeciwko naszego bloku, pierwszego od strony dworca oruńskiego, to stały jeszcze trzy domy. Stare domy, jednorodzinne. Dzisiaj już nie zachował się z nich żaden. Jeden z nich był w złym stanie, prawie zburzony, a te dwa jeszcze stały długo. Tam był taki też plac między dworcem, a naszym blokiem na tyłach tych domów jednorodzinnych, to był troszkę obniżony teren i po takim większym deszczu tam to się zawsze pojawiało takie płytkie jezioro – wspomina pan Zygfryd.

Z innych relacji mieszkańców wynika też, że nieutwardzony, miękki grunt wokół nowych bloków był zimą nowym lokatorów. – Z opowieści rodziców wiem, że mama była po prostu przerażona tym błotem, w którym buty można było zgubić. Tam nic nie było po prostu. Fajnie, cudnie, że mieszkanie jest, ale niczego dookoła nie ma, tylko to błoto – opowiada Joanna Dunajska, która jako kilkulatka zamieszkała z rodzicami w bloku przy ulicy Diamentowej 11. Podobnie pierwsze lata funkcjonowania nowych bloków przy tej samej ulicy wspominają dawni mieszkańcy. Domy stały, ale ulic i chodników nie było. Bloki, bloki i tyle – dodają.

O brzydkim, niezagospodarowanym otoczeniu w początkach istnienia osiedli pisała także codzienna prasa. Dotyczyło to na przykład brudnego, zaśmieconego kanału Raduni, z którego w stronę bloków płynął nieprzyjemny zapach. „Świetne leże w korycie rzeczki znalazły sobie komary oraz różnorodne robactwo” – ubolewał we wrześniu 1965 roku redaktor „Dziennika Bałtyckiego” i dodawał „Lokatorzy ładnych bloków zmuszeni są wdychać zapachy z byłej rzeki, codziennie muszą obok niej przechodzić”.

ŚCIANY JAK BANANY

„Lokatorom ładnych bloków” zawadzać mógł nie tylko odór z Raduni. Wkoło były i inne „przeszkadzajki”. Jedną z nich stanowił kolejowy hałas, doskwierający szczególnie mieszkańcom bloków za torami. – Jak pociąg przejeżdżał, towarowy szczególnie, to w domu dygotało wszystko, drżały szyby, brzęczały szklanki czy kieliszki. Na początku to człowiek odczuwał to prawie jak małe trzęsienie ziemi. Jak takie dwa towarowe się mijały, to autentycznie dom się bujał cały, nawet kawa w szklankach się kotysała. Kiedyś się śmiałem, bo przyszła do mnie koleżanka, ja już się do tych drgań przyzwyczaiłem, siedzimy, coś tam pijemy, ona się zerwała przestraszona. Powiedziałem jej wtedy, no spokojnie, to tylko pociąg jedzie – opowiada Zbyszek Petrak, który w domu przy Żuławskiej mieszka od lat osiemdziesiątych.

Drugim utrapieniem mieszkańców była osiedlowa kottłownia. – Pył z komina osiadał grubo wszędzie, na wszystkim – przypomina sobie Zygfryd Lehmann. – No, kopciło – potwierdza Zbyszek Petrak. – Czasem na moim



Ogłoszenie prasowe o losowaniu mieszkań w bloku przy ulicy Żuławskiej. Źródło: „Dziennik Bałtycki” 1965 r., Bałtycka Biblioteka Cyfrowa



Gdańskie Przedsiębiorstwo Budowlane buduje przy ulicy Żuławskiej na Oruni nowe osiedle. 08.07.1965 roku. Fot. Zbigniew Kosycarz/KFP ↗↘

samochodzie, „maluchu”, pył rano widziałem. Ja też przez to żartowałem z mojej żony swego czasu, bo ona okna lubiła myć. A jak ona to okno umyje, to zaraz na nim osad widać ponownie. Więc jej mówiłem, a po co tam będziesz myć okna. Mówię, widzisz ten komin? No widzę. No to znaczy, że są czyste – śmieje się nasz rozmówca.

Najgorszy jednak w opinii naszych rozmówców był nie hałas kolejowy, czy komin z kotłowni przy Związkowej, tylko pralnia chemiczna przy Trakcie św. Wojciecha (wcześniej ulicy Jedności Robotniczej), nie tylko z powodu ścieków odprowadzanych do kanału, ale i dymu.

– Codziennie dym, czarny taki, dzień i noc – wspomina Cezary Ponczek. – Jak wiatr zawiął od wschodu, to trzeba było zamykać okna, wszystko było czarne, łącznie z szybami i firankami. Te firany trzeba było ciągle prać. To było utrapienie mojej babci do końca życia – wzdycha nasz rozmówca.

Niekiedy również same budynki sprawiały wrażenie niedbale, pośpiesznie wykonanych. Przykładem niech będzie blok przy Granitowej 2, o którym opowiada Anna Żółkiewicz, która zamieszkała tam w 1972 roku. – Nasz dom był budowany jako ostatni. I od kiedy pamiętam, mówiło się u nas w bloku, że on krzywo stoi. Albo został źle postawiony, albo osiadł, nie wiem, ale w jakimś sensie żyliśmy w strachu, że on runie, bo miał przechył.

Nie mieszkam już tam, ale co spotkam dawnych sąsiadów, to wiem, że temat wciąż jest aktualny i obawy nie znikły – opowiada pani Anna. – Czy ma przechył, to nie wiem – zauważa Natalia Dobkowska, mieszkanka tego bloku od kilku lat. – Tym niemniej panowie z ekipy, która remontowała nasze mieszkanie, przyzwyczajeni do

standardu deweloperskiego, mówią, że czegoś takiego to jeszcze nie widzieli. Kable biegnące na ukos w ścianach, wszystko krzywe, żeliwny pion kanalizacyjny, ściany jak banany. Nawet okno w ścianie jest wstawione krzywo, a na parapecie jest 5 centymetrów różnicy w grubości – relacjonuje pani Natalia.



Suczka Hera na balkonie mieszkania w bloku przy Granitowej 2, lata 90-te. Archiwum Ewy Hać.

Na niedoróbki konstrukcyjne zwraca też uwagę Cezary Ponczek. – Dla mnie fenomenem zawsze był nasz balkon, że on się jeszcze trzyma. W latach siedemdziesiątych robił wrażenie, jakby za chwilę miał się zawalić. Jakaś wada konstrukcyjna, nie wiem, w każdym razie ten balkon miał krzywą podłogę, schodzącą w dół. Czasem, jak uda mi się tam zajechać rowerem, to patrzę, czy ten balkon wciąż tam jest – mówi dawny mieszkaniec bloku przy Diamentowej 5.

CUDOWNY MIAŁAM WIDOK

Pomimo tych uciążliwości, mieszkania w oruńskich blokach miały też swoje niewątpliwe zalety. Pierwszą był widok, szczególnie z wyższych pięter wieżowców. – Z naszego ósmego piętra miałam cudowny widok, na Gdańsk i Chełm też – wspomina Anna Żółkiewicz. – Jak ja ludziom opowiadam, że z okna widzę ulicę Długą, to ludzie mówią „wow” – mówi Joanna Dunajska, która obecnie, od połowy lat osiemdziesiątych mieszka przy Perłowej 6. – Te widoki z wyższych pięter to jest po prostu bonus naszych bloków. I nic już tam nie zabudują, nic na tej linii widoku się nie pojawi. Tak, że jak są jakieś na przykład fajerwerki, to też



Widok z bloku przy ul. Żuławskiej 1 na nieistniejący już komin kotłowni, 2012 r. Fot. Zbyszek Petrak



Budowa bloków przy ulicy Diamantowej,
1965 rok. Archiwum Gdańskiej
Spółdzielni Mieszkaniowej



Budowa wieżowców na osiedlu
Spółdzielni Nauczycielskiej w Gdańsku-
Oruni. 10.05.1968. Fot. Zbigniew
Kosycarz /KFP

sobie można wygodnie pooglądać – zachwała nasza rozmówczyni.

Drugim wielkim bonusem Oruni jest przyroda i zieleń. Nie tylko ta z Parku Oruńskiego, czy małego Parku Schopenhauera, ale także ta zwykła, codzienna, która zagląda w okna, albo jak u jednej z naszych rozmówczyń wprost wpada do mieszkania. – Otwieram kiedyś balkon, patrzę, a tu coś wpadło nagle. Dzieciot! Siadł mi na pierśku, który miałam na balkonie. Piękny, z łebkiem takim czerwonym – relacjonuje Lucyna Korytowska. – Zawsze było tu dużo zieleni – potwierdza Joanna Dunajska. – Jak byłam nastolatką, to mieszkał u nas na osiedlu jakiś bardzo wykształcony pan profesor, który znał się na botanice – dodaje. – Nie pamiętam już jego imienia ani nazwiska, ale po prostu opowiadał nam o krzakach i roślinach, które dookoła rosły. To było niesamowite po prostu. Fantastycznie opowiadał.

ŚLEPE ŁAZIENKI, KUCHNIE BEZ OKIEN

Także same mieszkania, z wygodami, jak wtedy mówiono, były atrakcją dla nowych lokatorów. Tak było w przypadku Zbyszka Petraka. – Ja się na Żuławską przeprowadziłem z Wrzeszcza, z ulicy Chrobrego – opowiada nasz rozmówca. – No, a tam to było stare budownictwo, piece kaflowe, bez ciepłej wody, a tutaj miałem wszystkie wygody. Jak się tu wprowadziłem, to miałem od razu centralne ogrzewanie, ciepłą wodę, łazienkę, wszystko, dla mnie to był awans – podkreśla pan Zbyszek. Podobnie pamięta to Stanisław Hać, który do bloku przy ulicy Granitowej 2 wprowadził się z rodzicami jako dziecko. – Moja rodzina miała na Dolnym Ślasku dom, w małym mieście, przy rynku, z zewnątrz piękny, piętrowy. Problem był jednak w tym, że nie było tam kanalizacji, wodę trzeba było grzać a potrzeby fizjologiczne załatwiano się do wiadra, więc miałem porównanie, i w takiej sytuacji takie mieszkanie w bloku, choć może i małe, to był luksus – wspomina.

W naszym bloku były cztery klatki – wspomina Zygfryd Lehmann. – Układ taki, że na każdym piętrze po trzy mieszkania, więc razem piętnaście mieszkań na klatce. Nasze mieszkanie było nieduże, dwupokojowe, wszystkiego trzydzieści osiem metrów kwadratowych. Z klatki wchodziło się do przedpokoju, po prawej był duży pokój, z tego pokoju było wejście do kuchni. Z przedpokoju wejście do łazienki, oczywiście ślepej, i w lewo do małego pokoju. Taki rozkład mieszkań bardzo popularny był wtedy, w wielu blokach można go spotkać – dodaje nasz rozmówca.

Ślepe w blokach były nie tylko łazienki, w niektórych mieszkaniach także kuchnie, na przykład w jednoklatkowych „punktowcach” na Diamantowej. – To był taki głupi PRL-owski pomysł, ślepa kuchnia bez okna ale z prześwitem do pokoju. W NRD chyba to już to doprowadzono do absurdu, że ludzie w ogóle domach mieli nie gotować, tylko w stołówkach jeść obiady, taki pomysł komunistyczny był. Bo jeszcze, przez te kuchnie bez okna, to na naszych korytarzach w piątki gościł ten „wyjątkowy” zapach ryby – wspomina Joanna Dunajska. – Po prostu drzwi ludzie otwierali drzwi do mieszkań na oścież, by je wywietrzyć, no i to na korytarz szło.

Inna nasza rozmówczyni pamięta z kolei zupełnie odmienne zapachy. – Pasta do podłóg! – wspomina Anna Żółkiewicz. – Mieliśmy parkiety i bardzo się o nie w domu dbało. Cyklinowaliśmy je, pastowaliśmy, bo te parkiety były naprawdę bardzo ładnie położone. I ja z dzieciństwa właśnie pamiętam zapach tej pasty do podłogi, ona była w takiej szklanej butelce w postaci mętnego białawego płynu. No zasuwało się, zasuwało – podsumowuje pani Anna.

O mieszkania się rzeczywiście dbało, potwierdza to choćby Cezary Ponczek. – Dziadek, doświadczony stolarz, sam wykonywał meble do domu, porządne takie, które wyglądały na przedwojenne – półki, szafy, kredens i komody, ale najpiękniejszy był stół, z toczonymi nogami. Moja babcia z kolei, surowa skądinąd osoba, ogromną wagę przywiązywała do porządku. Pamiętam narzutę na jej łóżku, tak ułożoną, jakby żelazkiem odprasowaną, bez jednej fałdki. Mowy nie było, by naruszyć ten ład, usiąść na tym łóżku gładkim jak stół. Absolutnie zakazane to było, tak samo jak jeżdżenie samochodzikami po kredensie, którą wykonał dziadek – opowiada nasz rozmówca.

Mieszkania w blokach dość szybko wymagały poprawek czy remontów, po kilku latach część mieszkańców dokonywała drobnych korekt w układzie wnętrza. Ważnym momentem dla wielu lokatorów było upowszechnienie się lodówek – w połowie lat sześćdziesiątych niekoniecznie były one ogólnodostępne. – Wtedy wszyscy praktycznie porobili sobie na zewnątrz kuchni, na parapecie, takie małe spiżarki. To był rodzaj skrzyni, wykorzystywało się go jako podstawę tej spiżarki. Zimą to świetnie spełniało swoją rolę, bo lodówki dopiero wchodziły do powszechnego użytku – wspomina Zygfryd Lehmann.

Przejawem nowoczesności miały być windy, które w osiedlach oruńskich pojawiły się jedynie

Cezary Ponczek z rodzicami,
ok. 1972 rok. W tle budynek przy
ul. Raduńskiej 42 wraz z fragmentem
zadaszenia restauracji „Parkowa”.
Restauracja obecnie nie istnieje.
Archiwum Cezarego Ponczka →

w dziewięciopiętrowych wieżowcach przy Perłowej czy Granitowej. Ale i one miały swoje niefunkcjonalne rozwiązania. – Dźwigi w tych blokach zatrzymują się co dwa piętra – mówi Joanna Dunajska. – Mieszkamy na siódmym piętrze, więc wysiadamy na ósmym i schodzimy pół piętra. No to koszmar, szczerze mówiąc. No i do dzisiaj jest to uciążliwe – podsumowuje pani Joanna.

NAD SKLEPEM Z GARAMI

Na początku istnienia osiedli były, jak wiadomo, tylko bloki i błoto. Z zapleczem, w tym sklepami czy usługami było gorzej, choć stare formy handlu, w tym handlu obwoźnego dobrze się trzymały. – Miałam wtedy może z siedem lat – przypomina sobie Joanna Dunajska. – I autentycznie pamiętam pana, który jeździł normalnie wozem konnym po osiedlu, krzyczał „szmaty zbieram, szmaty zbieram!”. On skupował stare garnki, szmaty różne, butelki i za to można było sobie coś wybrać, na przykład piłeczkę na gumce, w taki celofan kolorowy zawiniętą. Taki handel wymienny. Leciałam do niego zawsze, bo to jojo mnie tak przyciągało, więc biegłam przehandlować butelki u niego czy szmaty za tę piłeczkę właśnie.

Większych sklepów na Oruni na początku nie było (sam przy Żuławskiej otworzył się jesienią 1966 roku), więc dzielnica obfitowała raczej w małe, często rodzinne sklepiki, jak ten, który mieścił się w nieistniejącym już domu przy Trakcie św. Wojciecha, przy wale Raduni. – To był prywatny sklep, prowadziło go jakieś małżeństwo, kultowe miejsce, tak zwane „mydło i powidło”. Można było tam kupić zamki, guziki, takie pasmanteryjne rzeczy, ale ja tam chodziłam po trzy rzeczy: anyżowe cukierki, żółte i brylaste, które uwielbiałam, no i oczywiście po korki i kapiszony – śmieje się pani Joanna.

– Ja mam z kolei w pamięci drewniany baraczek po drugiej stronie torów – opowiada Zygfryd Lehmann. – Śladu już po nim dawno nie ma. To był sklepik, gdzie kupowało się śmietanę wlewaną prosto do butelki z dzbana takiego metalowego. Posyłano mnie tam jako dziecko, pamiętam to, po śmietanę właśnie, mleko, warzywa, takie rzeczy.

– U nas na osiedlu mleko to kupowało się od pani Dyjowej – opowiada z kolei Anna Żółkiewicz. – To był malutki sklepik spożywczy na Małomiejskiej zaraz przy wjeździe na Granitową. I pani Dyjowa to mleko nalewała nam do kanek sporą chochlą, z takich wielkich metalowych baniek. Natomiast warzywa to się często kupowało u pani Sochalowej. Z bloków naszych na dół w Podmiejską się schodziło. Ten sklep jeszcze rodzice tej pani prowadzili, takie starsze małżeństwo. W środku stała lada, z ciężkich desek, pomalowana na zielono i regały oszklone, jak na dawnych, przedwojennych filmach. Prosty sklep – owoce, ziemniaki, jeszcze taką szuflą nakładane. Później jak przejęła to ich córka, ta pani Sochalowa, to już się ten zrobił sklep „zachodni”, bo ona tam wyszukiwała różne frykasy, cukierki, jakieś bakalie, z czasem też ciasta, alkohole. Najlepiej zaopatrzony sklep na całej Oruni. Obok też był fryzjer. Ta pani była bardzo charakterystyczna, drobna kobieta z przepięknymi długimi siwymi włosami, które upinała w kok. Z drugiej strony sklepu pani Sochalowej był kiosk RUCH-u, po którym już śladu nie ma – przypomina sobie pani Anna.

Niekiedy punkty handlowe zlokalizowane były na parterze bloków. – To był sklep typu „1001 drobiazgów”,

artykuły gospodarstwa domowego. Nawet mówiło się u nas w domu, że mieszkamy nad sklepem z garami – żartuje Joanna Dunajska. – A ponieważ byliśmy sąsiadami, to po prostu nawet zakumplowani byliśmy z właścicielami sklepu. Moi dziadkowie mieli sklep, więc mnie trochę ciągnęło do tych państwa, czasami nawet pomagałam im poodkurzać czy coś tam zrobić. To było bardzo sympatyczne, mogłam się tam też przechować po lekcjach, taki rodzaj świetlicy – dodaje nasza rozmówczyni.

W parterach bloków znajdowały się także punkty usługowe. – ZURT na przykład – przypomina sobie Cezary Ponczek. – Zakład Usług Radiotechnicznych i Telewizyjnych, który mieścił się na dole bloku moich dziadków, miał takie charakterystyczne logo w kształcie rombu. Ludzie tam przynosili do naprawy uszkodzone radia, telewizory.

PIWOSZOM DOBRZE, DZIECIOM NIE

W bloku przy ulicy Raduńskiej 42 przez około dekadę funkcjonowała kawiarnia o nazwie „Parkowa”. Mieściła się na parterze bloku od strony Parku Oruńskiego, jej okna i taras wychodziły wprost na drzewa i parkowy staw. Przez lata była ulubionym miejscem spotkań Oruniaków. – Pamiętam, że czasem chodziłam tam z rodzicami w niedzielę, po mszy, taki zwyczaj mieliśmy. To była knajpa z tych przyzwoitszych, powiew Zachodu można powiedzieć – wspomina Joanna Dunajska. – Stoliczki, taras, ci kelnerzy już ubrani jak w filmach amerykańskich, białe koszule, czarne spodnie i kamizelki, z serwetką przez ramię przewieszoną. To, co ja najbardziej stamtąd pamiętam, to szklane butelki z Pepsi-Colą, to był rarytas wtedy. Cała Polska dzieliła się na tę od Coca-Coli i tę od Pepsi – śmieje się pani Joanna. – No i u nas dominowała właśnie Pepsi, zresztą browar gdański we Wrzeszczu ją produkował. No ale nie ma już kawiarni, żartujemy czasem, że to klątwa Emilii Hoene, ostatniej właścicielki Parku, która zabroniła tutaj otwierać wyszynku – dodaje dawna mieszkanka ulicy Diamentowej. Dlaczego „Parkowa” musiała upaść? Było zbyt głośno po prostu – odpowiadają dawni mieszkańcy. – Szafa grająca, alkohol, wieczorne tańce były uciążliwe dla sąsiadów. Te domysły potwierdza oficjalna skarga, zamieszczona w 1971 roku w „Dzienniku Bałtyckim” w rubryce „Śmiało i szczerze” i podpisana przez „mieszkanke osiedla przy Raduńskiej”. „Na Oruni powstały trzy nowe osiedla przy ulicach Żuławskiej, Raduńskiej i Piaskowej. Ponieważ istniejące do tej pory 3 przedszkola były przepełnione, władze spółdzielni przeznaczyły na czwarte przedszkole mieszkanie typu M-4, co niewiele pomogło, bo warunki są tu gorsze niż złe. A tuż obok, cały dzień świeci pustkami kawiarnia, która dopiero wieczorami wypełnia się amatorami piwa. Kawiarnia jest duża z tarasem. Jednym słowem piwoszom dobrze – dzieciom nie” – kwituje zirytowana obywatelka, dla której „Parkowa” najwyraźniej była solą w oku. Kawiarnia jednak funkcjonowała jeszcze przez kilka lat, zastąpiona potem centralą telefoniczną. Tę jednak także zlikwidowano i dziś na parterze bloku przy ulicy Raduńskiej 42 znajdują się mieszkania. Po „Parkowej” zaś nie ma znaku. Jedynym śladem, że kiedyś istniała, jest niski murek stanowiący kiedyś podstawę obszernego tarasu...

IGLOO ZE SŁOMY

Do nowych bloków na osiedlach sprowadzało się dużo rodzin z dziećmi, tak to przynajmniej pamięta Anna Żółkiewicz.





Pola i łąki na terenie dzisiejszej Oruni Górnej, dziewczynka zbierająca maki i chabry, lata 90-te. Archiwum Ewy Hać.

– Jak moi rodzice te bloki zasiedlali, to był taki czas, że wprowadzały się tam praktycznie same małżeństwa z dziećmi, więc w tych dziesięciu wieżowcach to była masa dzieciaków. I mieliśmy, muszę to powiedzieć, wspaniałe, fantastyczne dzieciństwo, szczególnie tam na górkach, gdzie dziś jest Orunia Górna, a wtedy były po prostu pola. Regularnie żeśmy tam sobie hasali w tym zbożu, tym bardziej, że latem, jak burze z gromami z nieba leciały, to pięknie wszystko pachniało wtedy tą trawą, zbożem, tymi drzewami, krzewami. A jak przychodził czas sianokosów i po polu jeździły kombajny, to budowaliśmy sobie domki z kłoców słomy, które wypadały z kombajnów. Budowaliśmy sobie takie igloo, wchodziliśmy do środka i nas nie było po prostu, potrafiliśmy tam siedzieć całymi dniami. Nawet jak rodzice nas wołali na obiad, to na ten obiad nie chciało się iść, zrywało się z pola marchewkę czy kapustę i w tym domku, cośmy sobie zbudowali, siedziało się i jadło takie świeże, tylko z ziemi otrzepane warzywa. Albo kłosa żyta zbieraliśmy i też nasionka się wydobywało i się jadło, robiło się z nich gumę do żucia. To były fantastyczne czasy, naprawdę – wspomina orunianka. Potwierdza to inny mieszkaniec ulicy Granitowej. – Te góry to był raj dla dziecka – opowiada Stanisław Hać. – Ja wtedy w domu praktycznie nie bywałem. Wracałem ze szkoły, tylko po to żeby szybko odrobić lekcje i potem wystrzelić na dwór na całe popołudnie. I tam przez dwadzieścia parę lat żaden krzak nie wyrósł, bo myśmy wciąż tam biegali, deptali ziemię, zjeżdżali na butach z góry i tak dalej. Miejscem zabaw oruńskiej dzieciarni był też oczywiście Park Oruński. – Zjeżdżanie z góry na sankach, a jak ktoś sanek nie miał, to na butach, na tyłku. Ślizgawki po zamrzniętych stawach w parku, nikt się nie przejmował, że coś się stanie, nikt się nie trząsł nad nami – opowiada Zygfryd Lehmann. – Ja mam z parkiem dziwne skojarzenia – przyznaje z kolei Cezary Ponczek. – Szczególnie z grotą-lodownią przy Górze Pięciu Braci. Bo moja babcia uwielbiała mnie tą jaskinią straszyć, że tam mieszka dziad i wciąga do środka małe dzieci. I ja się z jednej strony bałem tego miejsca, bałem się podejść tam blisko i zajrzeć do środka, ale z drugiej strony coś mnie kusilo. To był taki strach przemieszany z fascynacją – opowiada nasz rozmówca.

SCYZORYK ZNAK ORUNIAKA

W co bawili się w tamtym czasie mali mieszkańcy Oruni? W noża się grało, odpowiadają niemal jednogłośnie wszyscy, niezależnie od płci. – Przygotowywało się piaseczek miękki taki i z palca się odbijało, by ten nóż wbił się w piasek – tłumaczy Zygfryd Lehmann. – Były różne wersje tej zabawy – dodaje Joanna Dunajska. – Były rozmaite możliwości, sztuczki, że z ręki, z różnych palców się rzucało, ale też grało się w jakieś takie państwa, że rzucało się noża i się zabierało komuś jego państwo. Ja miałam dobrą finkę, którą kupiłam w składnicy harcerskiej. Nikt nam takich zabaw nie zabraniał, rodzice się nie przejmowali, zupełnie inne podejście było wtedy – przypomina sobie Orunianka.

– A jak przy nożu jesteśmy, to już z mojego dorosłego życia ciekawą historię opowiem – wspomina Zygfryd Lehmann. – W latach osiemdziesiątych pracowałem w hotelu w Sopocie, w Kamiennym Potoku. I tam byli też kwaterowani turyści dewizowi, którzy przyjeżdżali tu na wczasy, a ja ich w tym hotelu jako recepcjonista kwaterowałem i z nimi rozmawiałem oczywiście. No i te chłopaki, oni mówią, że oni są z Oruni. Ja im na to: ja też jestem z Oruni. Na co oni obaj, starsi już panowie, wyciągają scyzoryki z kieszeni i pokazują jako symbol, znak Oruniaka. Niesamowite! – śmieje się pan Zygfryd.

Bardzo ważna dla oruńskiej dzieciarni była piłka nożna. – Dla chłopaków to była rzecz wtedy najważniejsza, piłka i żeby grać w reprezentacji klasy – przyznaje Zygfryd Lehmann. – Swoją pozycję wśród kolegów trzeba było sobie wyrobić na boisku. Największą estymą cieszyli się ci, którzy byli uważani za najlepszych piłkarzy, tacy, którzy dobrze się kiwają. W piłkę graliśmy też u salezjanów i muszę powiedzieć, że oni wtedy, księża z parafii z małego kościoła, super robotę wykonywali z tymi chłopakami. Pamiętam, jak moja mama w 1968 roku zaprowadziła mnie tutaj do salezjanów. Zapukała do proboszczówki, poprosiła księdza takiego i takiego i powiedziała, że tutaj ten chłopiec ma być ministrantem. No i nim zostałem, byłem nim bardzo długo. Cały czas nasz wolny po szkole był skupiony wokół tych salek ministranckich i aktywności z księdzem. Codziennie ksiądz był gotowy, ten, który się zajmował młodzieżą. Punktualnie o godzinie 15.00 czy 16.00, piłka



Rodzinne scenki w bloku przy Diamentowej, mały Czarek ciekawie zagląda babci w karty, lata 70-te. Archiwum Cezarego Ponczka.

była przygotowana, napastowana i ksiądz był gotowy, zbierało się wielu chłopaków i szliśmy do dużego parku grać w piłkę. Jestem im wdzięczny, myślę, że i mnie, i wiele osób, oni uratowali wtedy – podkreśla nasz rozmówca.

KOŚCIOTRUP NA PARAPECIE

Orunia jak wiadomo ma swoją bogatą i długą historię, która długo współistniała z nowym osiedlem i nową rzeczywistością. Często po latach „stare” musiało jednak skapitulować przed „nowym”, czasem w bardzo dobitny sposób. – To była połowa lat siedemdziesiątych – przypomina sobie Cezary Ponczek. – Jesteśmy w domu, siedzę sam z babcią i nagle słyszymy potworny huk. Wychodzimy na zewnątrz, idziemy w kierunku skrzyżowania Raduńskiej z Diamentową. A tam na rogu stał budynek taki, podejrzewam, z początku dwudziestego wieku, wyglądający jak chatka wiejska. I patrzymy, a tam nie ma całej szczytowej ściany. Ona pod swoim ciężarem po prostu zawałała się sama z siebie. To świadczy o tym, jaka to jednak kiepska jakość zawsze była tej substancji budowlanej, to była norma. Pamiętam, że w latach siedemdziesiątych, osiemdziesiątych, Orunia robiła na mnie wrażenie zaniedbanej dzielnicy, z takimi domami, co to wyglądały, że się zaraz zawałą. Pamiętam kiedyś taki spacer z moim ojcem, poszliśmy na ulicę Nowiny. I on mówi, zobacz, tutaj jest taki dom, w którym ja byłem w latach sześćdziesiątych, jako student architektury. I już wtedy ten budynek miał być przeznaczony do rozbiórki, a ludzie tu wciąż mieszkają! – opowiada nasz rozmówca.

Czasem dawne historie, dosłownie, wychodziły spod ziemi. – To było w latach osiemdziesiątych. Budowano wtedy narożny dom przy ulicy Piaskowej, wyłożonej płytami jumbo. W tym wykopie robotnicy znajdowali różne rzeczy. Kolega mi powiedział, że wykopano tam czaszkę, więc poleciałem, by sprawdzić. Teren był nieogrodzony, leżała hałda wydobytego piasku i tam bez specjalnych kłopotów znalazłem mnóstwo kości ludzkich, pozbierałem czaszkę, kości, kręgi, kończyny, poleciałem po torbę i w tej torbie przywlokłem do domu mnóstwo tych szczątków. Położyłem je u siebie w pokoju na parapecie, żeby je wysuszyć i potem oczyścić z ziemi. Wtedy do pokoju wpadła moja mama, i jak zobaczyła tego kościotrupa prawie kompletnego leżącego na parapecie,

Zimowy spacer wzdłuż ulicy Raduńskiej, ok. 1972 r. Archiwum Cezarego Ponczka.
↓

Kilkuletni Czarek Ponczek przed jaskinią w Parku Oruńskim, lata 70-te. Archiwum Cezarego Ponczka →



to zrobiła się awantura, że co to za kości, może jakaś choroba, dżuma, nie wiadomo, więc te kości z domu zabrałem i odniosłem, skąd je wzięłem. Powiedziałbym, że na oko, były to kości gdzieś z pierwszej połowy XX wieku, może II wojny światowej – były dość mało zniszczone.

Ten wykop, i poniewierające się tam różne ślady przeszłości, pamiętają także inni mieszkańcy. – To było mnóstwo kości – potwierdza Anna Żółkiewicz – ale nie tylko. Także talerze potłuczone tam znajdowano, filiżanki, szpitalne, metalowe białe nerki. I jak tyżka koparki wygrzebywała tę ziemię, to jakby obciąła tę ziemię razem z kawałkiem podziemnego tunelu, wzmocnionego drewnianymi belami. Potem to wszystko zakopano, stoją w tym miejscu domy przy Piaskowej, obok schodów prowadzących na górę, na Górną Orunię.

CZOŁGI TAŃCZYŁY NA ULICY

Oruńskie bloki stoją już od ponad sześćdziesiąt lat i chcąc nie chcąc są niemyym świadkiem historii i przemian polityczno-ustrojowych, które miały miejsce w naszym kraju. Pierwsze ćwierć wieku funkcjonowały w rzeczywistości Polski Ludowej, kolejne dekady już w wolnej Polsce. Jednym z okresów najmocniej pozostającym w pamięci mieszkańców był stan wojenny, ogłoszony w grudniu 1981 roku. – Pamiętam grupę zomowców, grzejących się zimą przy koksownikach – opowiada Zbyszek Petrak. – I kiedyś wychodzę wieczorem, a oni mnie pytają, gdzie tu



Stary dom przy ulicy Raduńskiej, przy skrzyżowaniu z ul. Diamentową, lata 70-te. Archiwum Jerzego Łukasiaka. Dom obecnie nie istnieje.



Stanisław Hać na tle budowanych bloków na Oruni Górnej, lata 90-te. Archiwum Ewy Hać.

można wódkę kupić. Nic im oczywiście nie powiedziałem, pewnie mnie podpuszczali, coś powiem za dużo, to mnie wezmą i zamkną. Różnie bywało, można było wpaść, znajomy mi opowiadał, że koleżanka wieczorem z pracy wracała i żal jej się zrobiło tych zomowców, do domu ich zaprosiła na herbatę. Oni przyszli, a tam w domu jej mąż bimber akurat pędził. No i wpadka! Lepiej było z nimi w żadne konszachty nie wchodzić – dodaje nasz rozmówca.

Inne sceny ze stanu wojennego pamięta Ewa Hać. – Nasza ciocia odprowadzała nas z bratem do szkoły, staliśmy przed przejściem dla pieszych, a Małomiejską jechały czołgi. Ale to jeden za drugim, regularne czołgi, Z gąsienicami, lufami i całym tałatajstwem. I one jechały i jechały, i jechały. I był taki kurz straszny. Tą uliczką, żeby sobie wyobrazić, takie tanki jeden za drugim. Toż one były szerokości ulicy – opowiada pani Ewa. Podobnie pamięta to Anna Żółkiewicz. – W rejonie dzisiejszej Nieborowskiej znajdował się poligon, gdzie stacjonowały wojska. I jak ogłoszono stan wojenny, to te wszystkie wojska, czołgi, wozy opancerzone ruszyły na Śródmieście, w stronę stoczni i cały czas kursowały. W środku ciężarówek z plandekami były ławki poustawiane i siedzieli tam żołnierze z karabinami. Całą tę kawalkadę z góry, z domu też widzieliśmy, patrzyliśmy w dół na ulicę przez okno. A wtedy była ulica brukowana, niepokryta asfaltem i jadący czołg po kocich łbach nie miał przyczepności do podłoża, więc on się ślizgał, tańczył czasami na ulicy. I na tej wybrukowanej ulicy tworzył się ogromny hałas, pisk, taki zgrzyt, trudno opisać nawet ten dźwięk, ale ja go do dziś słyszę – opisuje ze zgrozą pani Ania.

Z okresu stanu wojennego mieszkańcy oruńskich wieżowców pamiętają jeszcze jedno zdarzenie – milicyjne polowanie na ukrywającego się opozycjonistę, działacza „Solidarności”. – Mówiono, że był to Bogdan Lis, który ukrył się w bloku przy Pertowej 6 – mówi Joanna Dunajska. – To mój blok, tyle że ja tam jeszcze wtedy nie mieszkałam, więc tylko opowiadam, jakie wieści wtedy krążyły. Lis miał ukryć się we wnęce gdzieś przy windzie, ale niestety ktoś go wydał, i tam stamtąd go ponoć władza zwinęła – tłumaczy pani Joanna. – Ja tę akcję akurat na własne oczy widziałem – relacjonuje z kolei Stanisław Hać. – Pamiętam tę obławę, bośmy mieli okna skierowane na ten blok,

z mojego piątego piętra wyraźnie było to widać. Cały ten teren został otoczony, oczywiście wokół tego wielka tajemnica, ale na zewnątrz stały umundurowane osoby, więc to nie budziło żadnych wątpliwości, że to milicyjna akcja. I już po wszystkich poszła w ruch informacja, że to było polowanie na Lisa, tak przynajmniej sąsiedzi mówili. Z tego, co słyszałem, to jednak go wtedy nie złapano.

W wolnej Polsce z okna oruńskiego wieżowca zobaczyć już można było zupełnie inne widoki. Jednego z nich Joanna Dunajska nigdy nie zapomni. – Pewnego razu podchodzę sobie do okna, tego wychodzącego w stronę Gdańska Głównego. Podciągam roletę i, proszę mi wierzyć, za oknem widzę Air Force One, samolot Prezydenta Stanów Zjednoczonych, który leci na gdańskie lotnisko. Był już dość nisko, widziałam oznaczenia na kadłubie. I powtarzałam sobie, nie wierzę, niemożliwe, że ja dożyłam czasu, gdzie widzę z domu samolot prezydenta USA, który zaraz będzie lądował na lotnisku imienia Lecha Wałęsy. I aż zaczęłam się szczypać, niemożliwe, niemożliwe. Historyczna chwila po prostu – relacjonuje nasza rozmówczyni. Sprawdzamy: George Bush z żoną Laurą wylądował na gdańskim lotnisku 8 czerwca 2007 roku i to pewnie ten samolot widziała z okien pani Joanna.

MOJE MIEJSCE NA ZIEMI

To jest moje miejsce na ziemi, nie wyprowadziłbym się stąd nigdy – słyszymy od wielu naszych rozmówców. Chwałą zieleni i piękny widok, ciszę i jednocześnie bliskość miasta, to że do centrum można w porywach, gdy nie ma korków i przy „zielonej fali” dojechać nawet w siedem minut. Od pewnego czasu wśród mieszkańców bloków nie brakuje osób narodowości ukraińskiej, którzy z powodu trudnej sytuacji w swoim kraju szukają dla siebie i swoich rodzin bezpieczniejszego miejsca na ziemi. – Przyjechaliśmy tutaj dla naszej córki, by zapewnić jej lepszą przyszłość. Jesteśmy tu od kilku lat, pracujemy, mamy dobre relacje z sąsiadami, dobrze nam się tu mieszka, bardzo nam się Park oruński podoba, duży taki, ładny – opowiada pani Tetiana, mieszkanka bloku przy ulicy Żuławskiej. Kiedy rozmawiamy z panią Tetianą w Stacji Orunia, do pokoju puka jej córka Anastazja. – Mamo, na dziś trzeba było osiemdziesiąt złotych przynieść – mówi dziewczynka

Widok z piątego piętra bloku przy
ul. Granitowej 2 w stronę dzisiejszej
Górnej Oruni, lata 90-te.
Archiwum Ewy Hać ←

i wychodzi. – Anastazja tańczy tutaj w Waszym dziecięcym zespole pieśni i tańca „Mały Gdańsk” – tłumaczy nasza rozmówczyni. – Dobrze się tu czujemy, ludzie są życzliwi, może kiedyś się wyprowadzimy z Oruni, ale na razie nie, to dobre miejsce do mieszkania – uśmiecha się pani Tetiana.

ANNA SADOWSKA



SŁOWNICZEK

Bonus – premia, dodatkowe punkty. Tutaj: dodatkowa atrakcja

Prefabrykacja – w budownictwie oznacza produkcję poszczególnych części konstrukcji i zmontowanie ich na placu budowy, gdzie stworzą całość

Salezjanie – in. Towarzystwo Salezjańskie. Zakon założony w 1859 roku przez św. Jana Bosko, propagatora pracy na rzecz dzieci i młodzieży oraz działalności misyjnej

Wyszynk – gospoda, restauracja lub bar, gdzie sprzedaje się alkohol wypijany w miejscu zakupu

PODZIĘKOWANIA

Redakcja „Waszych Historii po Oruńsku” dziękuje Wszystkim którzy zechcieli podzielić się z nami swoimi opowieściami i zdjęciami, to bezcenny materiał i żywa historia, której nie zastąpi żaden podręcznik. Pamiętajcie, że wciąż zbieramy Wasze opowieści o Oruni. Można do nas przyjść, zadzwonić, napisać maila. Informacje znajdziecie w stopce.

Szczególne podziękowania kierujemy w stronę:
Doroty Karaś, Grażyny Kunickiej, Piotra Mańczaka i Bartka Lisa – za kontakty
Mateusza Kosela – za wsparcie w transkrypcji rozmów i nie tylko
Anicie Wasik niezmiennie dziękujemy za udostępnienie znaku Historie po Oruńsku

Redaktorka naczelna: Anna Sadowska
Wydawca: Gdański Archipelag Kultury
Projekt graficzny i skład: Zuzanna Leśniak
Nakład: 500 sztuk
Kontakt z redakcją: GAK Stacja Orunia, ul. Dworcowa 9,
80-026 Gdańsk, e-mail: gazeta@gak.gda.pl,



GAK.

NAJBARDZIEJ ULUBIONE DANIE LAT 90.

CZYLI PRZEPIS NA PLACEK PO CYGAŃSKU
WEDŁUG ANNY ŻÓŁKIEWICZ

Potrzebujemy na placek: ok. 1 kg ziemniaków, 2 białe cebule, 2 jajka, 5-6 łyżek mąki, sól i pieprz

Potrzebujemy do farszu: 1 kg łopatki, 1 duża biała cebula, 2 marchewki, 2 pietruszki, 2-3 listki laurowe, 3-4 ziarna ziela angielskiego, pieprz i sól do smaku, 1 czerwona papryka, olej, woda i kwaśna śmietana

Przygotowanie: Ziemniaki i cebulę ścieramy na tarce, dodajemy mąkę i jaja. Dokładnie mieszamy składniki doprawiając solą i pieprzem do smaku. Na rozgrzanym oleju smażymy duże placki w złocistym kolorze, z chrupiącą skórką. W garnuszku na niewielkiej ilości oleju dusimy mięso pokrojone w kostkę, paprykę czerwoną i cebulkę (wcześniej obsmażone) oraz warzywa starte na tarce na grubych oczkach. Dodajemy liście laurowe, ziele angielskie i przyprawy. Całość dusimy, aż mięso będzie mięciutkie. Placek do połowy wypełniamy farszem i składamy na pół. Górę placka ozdabiamy kleksem śmietany. Podajemy z ulubioną surówką.

SMACZNEGO!